

Młody Kraków

MAGAZYN
MŁODYCH

Czytajże!

nr 4 • czerwiec 2019 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X • nakład 3000 egz.



Aktorstwo,
zawód dla pracowitych
i zawziętych

Jest autostop,
jest przygoda!

Rowerem
wzdłuż Bałtyku



Wakacyjne inspiracje

To już za chwilę. Jeszcze tylko kilkanaście, a może już nawet tylko kilka dni i zatrzasną się drzwi roku szkolnego. Wejdziemy w wakacje. Co tam wejdziemy, wbiegniemy w nie z radością.

Co prawda dla niektórych będzie to także czas zarabkowania. Dodatkowe fundusze zawsze się przydadzą, więc coraz więcej młodych ludzi dorabia w czasie wolnym. Tym bardziej, że o sezonową pracę jakby łatwiej niż kilka lat temu. Jednak dla większości z nas wakacje to czas wypoczynku. Pamiętając o tym, przygotowaliśmy wydanie „Młodego Krakowa”, w którym dzielimy się doświadczeniami z podróżowania. I to podróżowania trochę nietypowego. BlaBlaCar, couchsurfing, autostop – to sposoby na podróżowanie i nocowanie w obcych miejscach, która mają w sobie pewną dozę ryzyka. Wiążą się za to z przygodą. Łączy je coś jeszcze. Korzystając z każdej z nich, korzystamy z życzliwości nieznajomych. Czy nie jest to ciekawy fenomen naszych czasów, że obcy ludzie gotowi są wesprzeć nieznajomego – podwożąc go lub oferując nocleg we własnym domu?

W numerze publikujemy także wywiad z Agnieszką Kościelniak, aktorką Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Mamy nadzieję, że będzie przydatny dla osób przygotowujących się do egzaminu do szkół teatralnych.

Udanych wakacji!

Mateusz Talaczyński

**Młody
Kraków** MAGAZYN
MŁODYCH
Czytajcie!

Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.



Wydawca:

Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:

os. Centrum C10, 31-931 Kraków

Kontakt z redakcją:

tel. 12 616-78-19

e-mail: mlodziez@um.krakow.pl

Redaguje zespół:

Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Maja Jakubowska,
Lidia Kędra, Weronika Koczot,
Kinga Kowal, Jakub Leśkiewicz,
Wiktoria Łyko, Jakub Pilarski,
Jan Skowronek, Martyna Smoter,
Mateusz Talaczyński, Jerzy Walaszek

Współpraca:

Zuzanna Bober, Klaudia Dynur,
Łucja Woźniak, Jan Woźniak

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**

Pracownia Register
ul. Halczyna 7, 30-086 Kraków
tel. 12 265 85 50
e-mail: info@pracowniaregister.pl
www.pracowniaregister.pl

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.
Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

**Młody
Kraków**

SPIS TREŚCI

CO W NUMERZE

- 3 Aktorstwo, zawód dla pracowitych i zawziętych**
- 6 Jest autostop, jest przygoda!**
- 8 Z BlaBlaCarem bliżej, z couchsurfingiem taniej**
- 10 Rowerem wzdłuż Bałtyku**
- 12 Krótka historia nowoczesnego jazzu**
- 14 Ennio Morricone: światowy władca muzyki filmowej**
- 16 Współczesne mity**
- 18 Samorządy Uczniowskie na sportowo**
- 19 Demokracja w praktyce**



Aktorstwo

zawód dla pracowitych i zawziętych



Szkoła aktorska jest bardzo absorbująca. Na początku studiów ktoś mi powiedział: „Zobaczysz, za chwilę nie będziesz mieć znajomych spoza uczelni”.

Skąd bierze się zainteresowanie zawodem aktora?

→ Prawie każda mała dziewczynka chce być w przyszłości modelką, tancerką, aktorką albo piosenkarką, i niektórym to zostaje. Niektórzy startują do szkoły aktorskiej z przekory, np. mają w rodzinie lekarzy i bliscy oczekują kontynuowania rodzinnej tradycji. A oni trochę na złość wybierają aktorstwo. Część kandydatów ma w rodzinie aktorów, a niektórzy po prostu pasjonują się teatrem i nie wyobrażają sobie poza nim życia. Zdarza się też, że ktoś jest przekonany, że to bardzo dobrze płatny zawód. Gdy w trakcie studiów pomagałam przy organizacji egzaminów wstępnych, często słyszałam: „Oni super zarabiają!”. No raczej nie...



Fot. Katarzyna Widmańska

Rozmowa z **Agnieszka Kościelniak**, **aktorką** pracującą w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, absolwentką Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie.

Czy do egzaminu wstępnego na studia aktorskie można przygotować się samemu?

→ To sprawa bardzo indywidualna. Znam osoby, które przygotowywały się samodzielnie. Myślę jednak, że jest to bardzo trudne, trzeba mieć wyjątkową intuicję, być obiektywnym w ocenie swoich umiejętności. Aby przygotować się do egzaminu, przede wszystkim na początku trzeba wybrać odpowiednie teksty do zaprezentowania przed komisją. Najlepiej takie, które cię fascynują, działają na wyobraźnię, które koniecznie chciałbyś komuś powiedzieć, podzielić się. Musisz wczuć się w wybraną postać, klimat, a potem rozćwiczyć dany tekst na milion sposobów.

Co to znaczy rozćwiczyć?

→ Trzeba na siebie i na rolę spojrzeć „z boku”, trochę jak reżyser na aktora. Opracować tekst w różnych wariantach. Dla przykładu: tekst mówi o czymś radosnym, a ja go mówię tak, jakby mi było smutno albo jakbym kroїła sałatkę warzywną itd. Rozćwiczenie tekstu polega na zaprezentowaniu go w różnych interpretacjach. Jest to bardzo trudne i wymaga czasu i samozaparcia. Ja potrzebowałam kogoś, kto mną pokieruje i wyznaczy takie zadania, które mnie zaskoczą i będą dla mnie wyzwaniem.



Fot. Bartek Cieniawa



Fot. Michał Ramus

→ W teatrze reżyser powinien pokazywać nam różne możliwości zagrania postaci, żebyśmy cały czas mogli się rozwijać.

A czy można być tak szalonym, by trzy miesiące przed egzaminem postanowić, że zdaje się do szkoły aktorskiej? I zrobić to skutecznie?

→ Tak! Znam taki przypadek, ale do tego trzeba być mega zdolnym. Mam kolegę, który od początku był wyjątkowy i oryginalny w tym, co robił na scenie. Jego pomysły, propozycje aktorskie były bardzo odważne. Po prostu nie bał się szukać różnych rozwiązań. Przygotowywał się do egzaminów trochę ponad miesiąc i dostał się.

Na stronie Akademii Sztuk Teatralnych można znaleźć informacje na temat konsultacji. Czy ty, przygotowując się do egzaminu, korzystałaś z nich?

→ Tak, tylko wówczas wyglądało to inaczej. Nie trzeba było się zapisywać, po prostu się na nie przychodziło. Nie było to jeszcze tak popularne, więc uczęszczała na nie garstka osób. Dla mnie uczestnictwo w konsultacjach było stresujące, dlatego nigdy się nie odważyłam wystąpić, ale bacznie wszystko obserwowałam. Uważam, że warto z nich skorzystać. Konsultacje są przede wszystkim po to, żeby kandydat podczas egzaminu czuł się bardziej komfortowo. Ale nie dają gwarancji dostania się do szkoły.

Jak wyglądają?

→ Podczas konsultacji rozmawia się z wykładowcą, który opowiada o szkole, jej funkcjonowaniu oraz o egzaminach. Parę osób przedstawia jakiś tekst albo śpiewa, a prowadzący komentuje jego pracę i prosi o wykonanie jakiegoś zadania

aktorskiego, które mogłoby się pojawić na egzaminach wstępnych.

Jak wyglądają poszczególne etapy egzaminu?

→ Pierwszy etap – zerowy – polega na tym, że kandydat mówi tekst przed komisją. Śmiałam się kiedyś, że pierwszy odsiew mogliby robić studenci, bo bardzo często jesteśmy w stanie powiedzieć, który z kandydatów się dostanie. Jeśli zamienię z kimś dziesięć zdań i słyszę, że ma wadę wymowy, to jako student wiem, że będzie ciężko. Niestety selekcja jest ostra i jeżeli znajdzie się osoba równie zdolna bez wady wymowy, to właśnie tę wezmą. Kolejny etap to komisja ruchowa, na którą wchodzi się w grupie składającej się z dziesięciu lub piętnastu osób. Kandydat musi wykonać różne zadania: przewrót w przód i w tył, wyklaskanie rytmu, taniec, sprawdzana jest też dykcja i zazwyczaj mówi się kawałek tekstu. Potem znowu jest spotkanie z komisją interpretacji. Do ostatniego etapu – finału – przechodzi mniej więcej sto osób. Pracują dwie komisje – jedna na specjalność wokalnno-aktorską, a druga na dramatyczną.

Jaka jest między nimi różnica?

→ Jesteśmy jednym Wydziałem Aktorskim, ale mamy różne specjalności. Chodzimy na te same zajęcia i na początku wiele z nich jest wspólnych. Różnicy prawie nie ma, oprócz tego, że na wokalnno-aktorskim jest więcej przedmiotów związanych z muzyką, a także mniej osób, bo maksymalnie osiem, a na dramatycznym mniej więcej dwadzieścia.

Czy zdarza się, że w trakcie roku ktoś rezygnuje ze studiów?

→ Tak, u mnie na roku zaczynało 31 osób, a szkołę skończyły 23. Dwie osoby wzięły urlop dziekański, jedna zrezygnowała,



a część została wyrzucona. Zazwyczaj wyrzucają za to, że ktoś nie chodzi na zajęcia.

Jak wygląda ogłoszenie wyników?

→ Kilka dni po egzaminie zostaje wywieszona lista osób, które się dostały. Są też osoby „pod kreską”, czyli takie, które zdały egzamin, ale mają mniej punktów. Zdać egzamin może wielu, ale do szkoły przyjmują tylko tych, którzy najbardziej się spodobał komisji i otrzymali najwięcej punktów. Osoby „spod kreski” też mają szansę – muszą być czujne, czy któryś z kandydatów z większą liczbą punktów nie zrezygnował, np. wybierając inną szkołę, wtedy mogą złożyć odwołanie i czekać na decyzję dziekana.

Czy jest sens zdawać tylko do jednej szkoły?

→ Jeżeli ktoś jest przekonany, że chce studiować wyłącznie w Krakowie, to zdaje tylko do naszej AST. Jeśli jednak ktoś chce być aktorem, a miasto jest dla niego mniej ważne, próbuje wszędzie, gdzie się da.

Ile czasu spędza się w szkole aktorskiej?

→ Szkoła aktorska jest bardzo absorbująca. Na początku studiów ktoś mi powiedział: „Zobaczysz, za chwilę nie będziesz mieć znajomych spoza uczelni”. I prawie tak jest, bo w szkole spędza się czas od 8.00 do 23.00, czasami siedem dni w tygodniu. Zawsze trzeba coś odrobić, zrobić jakąś próbę.

Przeczytałam ostatnio, że jako studenci akademii teatralnej przez jakiś czas nie możecie grać zawodowo.

→ Tak, przez pierwszy rok nie wolno nam występować poza szkołą. Ale od drugiego roku już tak. Wystarczy napisać podanie do dziekana o pozwolenie. Sporo osób z tego korzysta, bo dzięki temu można się dużo szybciej nauczyć zawodu.

Czy można grać w teatrze, nie będąc zawodowym aktorem?

→ Raczej nie. Trzeba mieć jakiś „papier”. Szukanie pracy w teatrze wygląda mniej więcej tak, że przychodzi aktor i mówi: „Dzień dobry, czy mógłbym zostawić teczkę z CV?” albo rozsyła je do teatrów. Czasami dyrektor w teatrze ma całą półkę CV aktorskich, do których nawet nie zagląda. Bez ukończonej szkoły można pracować jako statysta.

Co daje aktorowi agencja aktorska?

→ Aktor, szukając ról na własną rękę, nie wie o połowie castingów, ponieważ zazwyczaj reżyserzy wysyłają informacje o nich do agencji. Tak jest prościej – ja już nie muszę niczego szukać, tylko dostaję sprawdzoną informację.

Czy osoba, która jest całkowicie „zielona” w aktorstwie, ale chce spróbować swoich sił, może zgłosić się do jakiejś agencji?



→ Tak, są agencje dla amatorów, statystów. Są to zazwyczaj agencje „masowe”, w których znajduje się bardzo dużo osób. Agencje, w których są zawodowi aktorzy, nie mówiąc już o gwiazdach, są o wiele mniejsze. Agent może się wtedy skupić na każdej osobie z osobna i szukać dla niej konkretnych ról.

Załóżmy, że jestem w klasie maturalnej i chciałabym przygotować się do egzaminu wstępnego do szkoły aktorskiej, ale nigdy nie uczestniczyłam w warsztatach aktorskich, w mojej szkole nie ma zajęć aktorskich i nie znam żadnego aktora. Gdzie szukać pomocy?

→ Można poszukać jakiegoś studenta w mediach społecznościowych. Zdarzało mi się, że pisały do mnie osoby: „Słuchaj, chcę zdawać do szkoły aktorskiej, opowiedz mi coś o tym: gdzie się przygotowujesz, czy znasz kogoś, kto mógłby mnie przygotować?”. Są też dni otwarte w Akademii, można iść i pogadać ze studentami, żeby kogoś polecili.

Jakie rady dałabyś przyszłym kandydatom do szkoły aktorskiej?

→ Trzeba być pracowitym i zawziętym, nic samo nie przyjdzie, nie zrobi się – chyba że jesteś geniuszem. Nie wolno się zniechęcać, trzeba obserwować siebie, ludzi, nawet z pozoru tak proste czynności, jak np. wstawanie z łóżka. Na tym można wiele zbudować, całą postać, cały spektakl. Trzeba mieć otwartą głowę, być ciekawym świata, a swoje doświadczenia, przeżycia, spostrzeżenia zapamiętywać – chować do tzw. skarbczyka małego aktora.

Rozmawiała
Martyna Smoter

Agnieszka Kościelniak, aktorka Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, absolwentka krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych. Ma wiele zainteresowań. Lubi poznawać i próbować nowych rzeczy. Najbardziej na świecie kocha taniec, który jest jej towarzyszem od najmłodszych lat, w wolnych chwilach m.in. śpiewa, maluje, fotografuje. W aktorstwie najbardziej fascynuje ją, że każdego dnia może zmieniać się jak kameleon, poznając przy tym coraz lepiej siebie.

Jest autostop, jest przygoda!



Rozmowa z **Teresą Wolano**, studentką fizjoterapii i zakręconą autostopowiczką.

Lubisz jeździć stopem?

→ Zaczęłam, gdy byłam gimnazjalistką, i z dwójką znajomych wybraliśmy się z Krakowa do Zawoi. To krótki dystans, ale bardzo się wtedy bałam, chociaż jeżdżenie autostopem podobało mi się już wcześniej, fascynowało mnie. Pamiętam, jak podczas górskich wycieczek z cicią lub kuzynką nieraz podjeżdżałyśmy „okazją” do jakiejś miejscowości czy miasta.

To było ekscytujące. Kiedy już się przełamalam, by spróbować samodzielnie, bez opieki łapać stopa, a moi rodzice zaakceptowali, że chcę w ten sposób podróżować, porwałam się na dłuższe wyprawy.

Rodzice zgadzali się bez kłopotu?

→ Niestety, nawet teraz nie jest łatwo ich przekonać. Gdy zapowiadam mamie nową wyprawę, to chwyta się za głowę i przekonuje mnie, żebym porzuciła pomysł. Mówi, że jeżeli problemem są pieniądze na pociąg czy na inny środek transportu, to chętnie mi go zasponsoruje. Ale z drugiej strony wie, że autostop mnie ciągnie. Wydaje mi się, że teraz bardziej mi ufa. Wie, że nie pojadę sama i że będę ostrożna.

Nie jeździsz sama?

→ Nie, zawsze z kimś. Zazwyczaj to jakiś chłopak, ale z koleżanką też się zdarza pojechać. W dwie osoby jest bezpieczniej. Poza tym bardzo fajnie jest przeżywać przygody we dwójkę.

A przygody się trafiają?

→ Zdarzyło mi się jechać z księdzem, który podczas naszej wspólnej jazdy dostał mandat. Było mi głupio, bo to ja go zagadywałam. Zjechaliśmy na pobocze, on podszedł do radiowozu, a ja siedziałam w aucie i nie bardzo wiedziałam, co mam robić. Czy mam się za nim wstawić? Kiedy później wysiadałam, ksiądz poprosił, żebym się za niego modliła, aby nigdy więcej nie dostał mandatu.

Innym razem, jechałam z moim kolegą Łukaszem na akcję „Czyste Tatry” do Zakopanego. Podwozili nas górale i po drodze śpiewaliśmy piosenki — góralskie disco polo. Kiedy wysiadaliśmy, wydawało mi się, że czarna bluza Łukasza leży z tyłu na siedzeniu, więc wzięłam ją, by mu ją przekazać. Wysiedliśmy,

pożegnaliśmy się, oni odjechali. Odwracam się, a Łukasz ma tę czarną bluzę na sobie! W ten sposób okazało się, że ukradłam ubranie góralom z Nowego Targu.

Kiedyś jechałam z koleżanką do Krakowa z gór i zgarnął nas czarnoskóry mężczyzna. Jak się okazało — były piłkarz Wisły Kraków. Musiałam mu trochę pomóc, bo nie orientował się w górskich terenach.

Zawsze jest sympatycznie?

→ Jeśli chodzi o spotkania z ludźmi, to nie miałam nieprzyjemnych sytuacji. Natomiast kłopoty pojawiają się wtedy, gdy zapada zmrok, a my jesteśmy daleko od celu podróży. Zdarzyło mi się kiedyś, że po zmroku byłyśmy z koleżanką wciąż ok. 100 kilometrów od Olsztyna, dokąd jechałyśmy. Nasz kierowca dowiózł nas do miejscowości, której nazwy nigdy wcześniej nie słyszałam. Szukałyśmy w Internecie, czy stamtąd jadą do Olsztyna jakieś pociągi czy busy. Ale było tak późno, że nie znalazłyśmy żadnego połączenia. Bardzo się wtedy stresowałam. Nie wiadomo było, jak z tej sytuacji wybrnąć, sto kilometrów to nie jest takie hop-siup. Mimo że sytuacja była podbramkowa, udało się złapać stopa. Z tym że pan, który nas zabrał, miał w samochodzie zepsute światła i jechaliśmy całkiem po ciemku. Na koniec podwoził nas fizjoterapeuta, który dużo opowiedział nam o swojej profesji. Może dzięki niemu dziś studiuję fizjoterapię?

Dlaczego wolisz podróżować stopem, a nie np. koleją?

→ Kolej też bardzo lubię, ale pociąg jedzie w konkretne miejsce i o konkretnym czasie — zazwyczaj. Tymczasem, np. gdy jestem w Nowym Sączu i chcę dojechać do Gorlic, łapię stopa i nie muszę sprawdzać, o której mam pociąg, skąd odjeżdża, o której będzie na miejscu itd. Nawet podczas podróży mogę zmienić plany i pojechać np. do Szczawnicy.

Jak długo trzeba czekać, żeby ktoś się zatrzymał?



→ Nie ma reguły. Kiedyś spontanicznie podjęłam decyzję o łapaniu stopa, wyciągnęłam rękę i pierwszy przejeżdżający samochód się zatrzymał. Ale zdarzało się też, że czekałam pół godziny, godzinę i nic. Dużym problemem jest wyjazd z Warszawy. Można tam bez problemu dojechać autostopem i często jedzie się z super ludźmi. Natomiast dostać się ze stolicy do Krakowa już nie jest tak łatwo. Dwa razy próbowałam i miałam z tym duże problemy.

Podróżowałaś autostopem poza Polską?

→ Tak, zrobiłam sobie objazdówkę po Słowacji, byłam też na Ukrainie.

Kierowcy chętnie tam podwożą?

→ Raczej klasycznie, jak wszędzie, bez większych problemów. Niby się mówi, że na Słowacji nie biorą, ale nie zauważyłam, żeby było trudniej. Dostrzegam za to taką zależność, że wbrew temu, co można sądzić, im droga jest większa i ma więcej pasów, nawet jak jest się doskonale widocznym, to mniej osób się zatrzyma niż na dziurawej, wiejskiej drodze bez pobocza.

Jaka była twoja ostania podróż?

→ Z Bochni do Krakowa. W przerwie między zajęciami na uczelni pojechaliśmy z koleżanką pociągami do Bochni. Już na miejscu stwierdziłyśmy z Anią, że na pewno szybciej będzie wrócić stopem. Kierowca dowiózł nas pod samą uczelnię i potem, jak gdyby nigdy nic, grzecznie poszliśmy na wykład.

Czy kierowcy chętnie rozmawiają z autostopowiczami? Czego dotyczą te rozmowy?

→ Jeżeli ktoś bierze autostopowicza, to zazwyczaj jest to osoba otwarta, chętna do rozmowy. Ja często pytam kierowców, czy sami jeżdżili stopem, i wielu z nich to potwierdza. Jeżeli trasa jest krótsza, to ciągle gada się z kierowcą. Natomiast przy dłuższym dystansie rozmawia się jednak z przerwami. Zdarza się też tak, że podczas dłuższej podróży panuje cisza, ale nie jest ona niezręczna. Nie ma też sensu rozmawiać na siłę, np. o pogodzie.

Czy podczas podróży autostopem zaprzyjaźniłaś się z kimś?

→ Tak. Jeżeli trafię na osoby, z którymi się dobrze rozmawia, które są bardzo sympatyczne, to wymieniamy się kontaktami. Mam sporo znajomych z autostopu, z którymi utrzymuję kontakt. Raz się zdarzyło, że jechałam z chłopakiem z drugiego końca Polski i okazało się, że znamy tych samych ludzi.

Jeżdżenie stopem jest darmowe. Czy potrafisz powiedzieć, ile zaoszczędziłaś, podróżując w ten sposób?

→ Nie chcę nawet szacować, żeby nie wprowadzać nikogo w błąd, ale to będą spore sumy. Bo gdybym miała sobie wyobrazić, że moje wszystkie podróże odbyłam tradycyjnymi środkami transportu, to wyniosłyby mnie one naprawdę dużo.

Jaki jest Twój rekord odległości w podróżowaniu autostopem?

→ Jednym samochodem? Z Krakowa do Warszawy. Zrobiłam też trasę Kraków — Gdańsk w jeden dzień, ale kilkoma autami. Kiedyś łapałam transport wraz z dwoma kolegami z Zabrzeży. Zatrzymuje się bus i pasażerowie mówią, że jadą do Wiednia do pracy i chętnie nas wezmą. Miałam wielką ochotę na taki wypad, ale to był środek tygodnia i miałam zajęcia na uczelni. Poza tym wyobrażam sobie minę mamy, gdybym zadzwoniła do niej z Wiednia.

Wspomniałaś wcześniej, że najczęściej podróżujesz z kolegą. To dlatego, że kierowcy najchętniej biorą chłopaka i dziewczynę?

→ Tak, to prawda. Największe szanse mają chłopak i dziewczyna, bo np. dwójka chłopaków może mieć ciężko, ja bym się zastanowiła na miejscu kierowcy, widząc ich na poboczu. Myślę, że dwie dziewczyny też bez problemu zapałyby okazję. Natomiast dla podróżujących zdecydowanie bezpieczniejszy jest duet chłopak — dziewczyna.



Masz jakieś podpowiedzi dla tych, którzy chcieliby spróbować podróży autostopem? Co wziąć w taką podróż, w jakich miejscach najlepiej stać?

→ Najlepiej wziąć karton i coś do pisania. Ja np. zawsze biorę czarną farbę i pędzle, bo markery mi się gubią. Ale nawet jak się tego nie ma, to zawsze można poprosić w jakimś sklepie. Sprzedawcy dają bez problemu. Kiedyś miałam taką sytuację, że poprosiłam sprzedawczynię w małym sklepie spożywczym o karton i pani powiedziała: „Ooo mój syn też jeździ autostopem, to ja wam dam jeszcze pisaki”. Dostaliśmy je za darmo. Na pewno trzeba jeszcze wziąć ze sobą dobre nastawienie. Natomiast jeśli chodzi o to, gdzie stawać, to wiadomo, że na przystankach, które są przy prostych drogach, nie za zakrętem, bo kierowca nie ma czasu, żeby cię zauważyć.

A w jakich godzinach najlepiej tupać?

→ Mnie zdarzyło się złapać stopa i o 4 rano, i późnym wieczorem.

Dzięki za rozmowę i powodzenia w przyszłych wyjazdach.

Rozmawiał
Mateusz Talaczyński

Teresa Wolano studiuje fizjoterapię na Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, ukończyła kurs przewodników górskich. Jest miłośniczką zwierząt, które czasami przywozi z podróży. Obecnie ma dwa koty i psa. Jest absolwentką Krakowskiej Akademii Samorządności.

Z BlaBlaCarem bliżej, z couchsurfingiem taniej

Internet pozwolił na rozwój nowych, społecznościowych sposobów podróżowania i rezerwowania noclegów.

Przed kilkoma miesiącami z kumplem odwiedziliśmy czeski Ołomuniec. Podróż stała się okazją do skorzystania z nietypowych środków zakwaterowania i transportu: couchsurfingu i BlaBlaCar.

Łóżko z couchsurfingu

Nasza kilkudniowa wyprawa nie byłaby możliwa bez noclegu. Postanowiliśmy przetestować korzystanie z tzw. couchsurfingu, czyli nieodpłatnego zakwaterowania u osoby prywatnej. Kilkanaście lat temu Amerykanin Casey Fenton założył stronę internetową www.couchsurfing.org. Dzięki niej każdy internauta może zaoferować darmowe zakwaterowanie lub znaleźć użytkowników oferujących nocleg we własnym domu lub mieszkaniu w wielu zakątkach świata. Aby to zrobić, użytkownik zakłada profil, na którym udostępnia dane osobowe, dodaje zdjęcie, pisze o swoich zainteresowaniach, miejscu zamieszkania. Informuje także, jakie warunki może zapewnić gościom i czego oczekuje w zamian. W podziękowaniu za gościnę couchsurfer zyskuje nowe znajomości i możliwość rewizyty oraz rekomendacje od odwiedzających.

Dzięki stronie znaleźliśmy Daniela – studenta, mieszkańca Ołomuńca, który zdecydował się zaprosić nas do siebie. Daniel okazał się gościnny, pokazał najważniejsze zabytki i ciekawe

miejsca Ołomuńca, zapoznał z aplikacją, która ułatwiła nam poruszanie się po Czechach. W ostatni dzień, tuż przed naszym wyjazdem, przygotował pyszną potrawkę z ryżu i kurczaka, którą zjedliśmy ze smakiem. Czuliśmy się ugośczeni po królewsku.

Co w Ołomuńcu?

Ołomuniec już pod koniec XII wieku był stolicą Moraw. O średniowiecznej przeszłości miasta świadczą dobrze zachowane mury miejskie wokół starówki z najważniejszymi jej zabytkami: ratuszem z zegarem astronomicznym znajdującym się na Hornym Namesti (Placu Górnym), uroczymi kamienicami, wpisaną do rejestru zabytków UNESCO kolumną Trójcy Przenajświętszej. Ołomuniec słynie przede wszystkim z zabytkowych kościołów. To m.in. Kościół św. Maurycego, który jest jednym z największych kościołów na Morawach. Z jednej z jego wież można podziwiać panoramę miasta. Innym ważnym kościołem jest Katedra św. Wacława z początku XII wieku. Początkowo romańska, z czasem przebudowana w stylu gotyckim, a następnie barokowym. W jednej z katedralnych wież znajduje się największy na Morawach dzwon kościelny. Nietypową atrakcją pobliskiego Placu Wacława jest umocowana w chodniku metalowa tuba dźwiękowa. Po naciśnięciu umieszczonych na niej przycisków możemy posłuchać wierszy czeskich poetów.

Popularnym regionalnym wyrobem z okolic Ołomuńca jest serek w kształcie krążka z dziurką. Ma gumowo-sprężystą konsystencję, jest nieprawdopodobnie słony i ma zapach noszonej przez tydzień skarpety. Czesi traktują go jako zakąskę do piwa, smażą w panierce i dodają np. do hamburgerów. Hamburgera z tamtejszym serem miałem okazję spróbować w Losticach i przyznaję, że był smaczny.

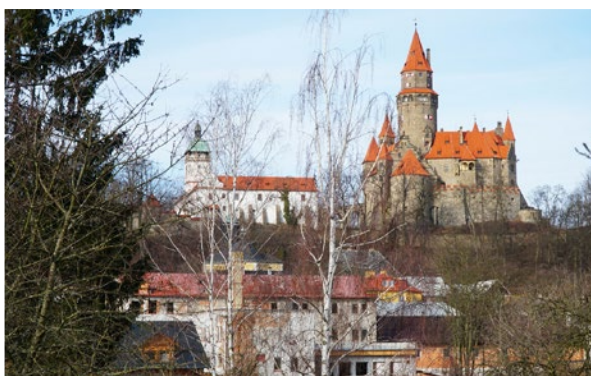
W krzyżackim zamku

Ołomuniec nie był jedynym celem naszej wyprawy – raczej bazą wypadową. Do Czech pojechaliśmy także po to, by zobaczyć zamek w Bouzovie. Zbudowano go prawdopodobnie





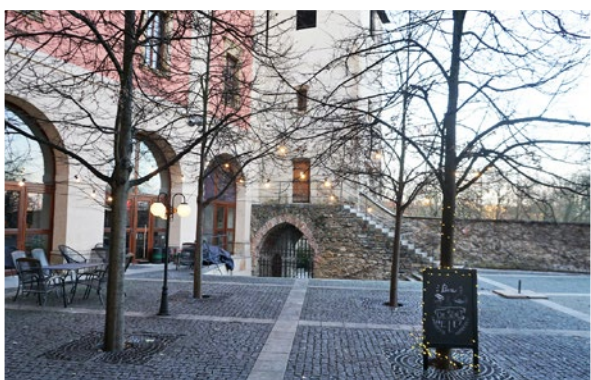
na początku XIV wieku. Ciekawostką jest, że pod koniec XVII wieku kupił go wielki mistrz zakonu krzyżackiego Franz zu Neuburg i od tego czasu aż do 1939 roku, kiedy to posiadłość skonfiskowali naziści, zamek należał do zakonu. Twierdzę można zwiedzać od kwietnia do października. W sezonie oblegana jest przez turystów, którzy pchają się tu drzwiami i oknami. Kamienna fasada z wieżami i basztami zachęca do zwiedzania. Zamek został doceniony przez filmowców. Kręcą tu sceny do filmów i bajek, m.in. „Fantaghiro”, „Wojna wołów”, „Młody Indiana Jones”.



BlaBlaCar zawiezie do domu

Nowa forma podróżowania, BlaBlaCar, pojawiła się w ostatnich latach. W 2004 roku Frederic Mazzella zamierzał odwiedzić rodzinę w święta Bożego Narodzenia. Zamiast wybrać podróż tradycyjnymi środkami transportu, postanowił poszukać kierowcy, który będzie jechał w interesującym go kierunku. Zdecydował, że poprosi go o podwózkę i zaproponuje podział kosztów paliwa. Pomysłu nie udało się zrealizować, jednak właśnie wtedy Fred wpadł na pomysł umawiania się nieznanym na wspólne podróżowanie prywatnym pojazdem. Mazzella założył stronę internetową, która umożliwiała zaplanowanie wspólnej podróży osobom, które dzielą się jej kosztami. Obecnie ta forma podróżowania jest rozpowszechniona w 22 krajach.

Sama nazwa może wydawać się nieco komiczna, ale ma logiczne wytłumaczenie. Trzej panowie, którzy mieli istotny wpływ na powstanie i udoskonalenie tego systemu, nadali jej taką nazwę ze względu na poziom rozmowności. Według ich kryteriów



„Bla” oznacza pasażerów mało rozmownych, którym zależy wyłącznie na dostaniu się do celu. „BlaBla” to pasażerowie, którzy podczas podróży chętnie gawędzą z kierowcą i innymi pasażerami, natomiast „BlaBlaBla” to już największe gaduły.

Pożytki z rozmowy

BlaBlaCar jest jedną z najwygodniejszych oraz najtańszych form podróżowania. Przejazd z Ołomuńca do Krakowa to koszt 50 zł od ftebka. Podczas podróży poznajemy nowe osoby, zdarza się, że zaskoczy nas coś niespodziewanego. W drogę powrotną do Krakowa zabrały nas panie Monika i Estera, które m.in. opowiedziały nam o programach typu Work and Travel, które pozwalają połączyć podróżowanie z wakacyjną pracą. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych programów Work and Travel jest realizowany w Stanach Zjednoczonych Camp America, który umożliwia wymianę kulturową pomiędzy uczestnikami tego projektu. Dodatkowym atutem jest opieka organizatora podczas tego obozu. Więcej informacji na ten temat można znaleźć na stronie: <https://www.campamerica.pl/work-and-travel/>

tekst i zdjęcia: Mateusz Talaczyński



Rowerem wzdłuż Bałtyku

Wyjazd nad polskie morze nie musi dotyczyć tylko jednego miejsca lub okolicy. Podczas wakacji coraz więcej turystów przemierza całą długość wybrzeża.



R10 to jeden ze szlaków należących do międzynarodowej sieci tras wokół Bałtyku. Wiedzie wzdłuż niemal całego polskiego wybrzeża. Turyści, aby czuć wiatr na plecach (który w Polsce najczęściej wieje z zachodu), wyprawę rozpoczynają od Świnoujścia i podążają na wschód. Po drodze czeka ich wiele pięknych i różnorodnych miejsc...

Niezapomniane widoki

Nieopodal Kołobrzegu szlak wiedzie blisko wybrzeża, z dala od wszelkich zabudowań. Do uszu dochodzi charakterystyczny szum. Po prawej stronie rozciąga się młody sosnowy las. Po lewej, tuż obok, ciągnie się pasmo niskich, piaszczystych pagórków porośniętych karłowatymi krzakami. Zaraz za nimi rozciąga się szeroka, złocista plaża. Wbrew stereotypom dotyczącym Bałtyku, jest tu czysto, woda też zdaje się bardziej przejrzysta. Nie słysząc gwaru, a jeśli ktoś tutaj krzyczy, to jedynie mewy. Patrzysz przed siebie i zdajesz sobie sprawę, że ten piękny odcinek trasy ciągnie się jeszcze przez co najmniej kilkanaście kilometrów. Fragmentów takich jak ten jest znacznie więcej.

Plaża lub klif

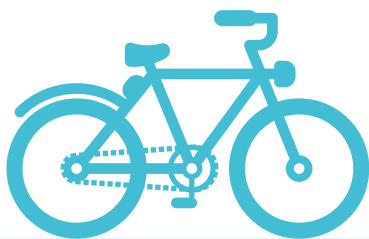
Nie oznacza to, że szlak wzdłuż morza jest monotony. Jadąc dalej, natykamy się na zupełnie inny typ wybrzeża. Zamiast płaskiej, piaszczystej plaży, z wody wystają strome, niemal pionowe skalne ściany. Najwyższy ze znajdujących się przy trasie klifów możemy zobaczyć w Jastrzębiej Górze, mierzy on aż 33 m wysokości. Widoki z takich miejsc są imponujące, jednak nie należy podchodzić zbyt blisko ich krawędzi. Klify powstają w wyniku abrazji, czyli wymywania materiału przez morskie fale. Po pewnym czasie działania tego procesu, podmyte skały wraz z ziemią osuwają się do wody. Prowadzi to do tzw. cofania się brzegu. Efekty abrazji można obserwować

m.in. w Trzęsaczu, gdzie znajdują się ruiny średniowiecznego kościoła. W XV wieku budowla znajdowała się 2 km od brzegu. Na skutek abrazji, na przełomie XIX i XX wieku dotarło do niego morze. Do dzisiaj przetrwała tylko jego południowa ściana.

Morze buduje

Jednakże morze nie tylko niszczy. R10 wiedzie również wzdłuż wielu tutejszych przybrzeżnych jezior. Są to pozostałości po dawnych zatokach. Prądy morskie, transportując materiał, gromadziły go w miejscach o mniejszym falowaniu. Tak powstawały tzw. kosy, czyli podłużne pasy piasków na morzu. Gdy z czasem kosy rozrosły się i przerodziły w mierzeję, zatoka zostawała odcięta od reszty Bałtyku. W ten sposób zostało utworzone m.in. jezioro Bukowo czy Jamno. Obok tego drugiego przejeżdża się samą mierzeją. Przemierzając ją, ma się uczucie, jakby jechało się jedną wielką groblą, mając po jednej stronie morze, po drugiej zaś jezioro.





Miasteczka, wsie, ślady przeszłości

Czym charakteryzują się miasta na Pomorzu? Są inne niż te położone w pozostałych częściach kraju? Naturalnie, w prawie każdym z nich jest port, plaża, stocznia itd. To raczej widać na pierwszy rzut oka. Jednak jest więcej różnic.

Aby je dostrzec, warto zapuścić się w wąskie uliczki starszych dzielnic. Większość miast południowego wybrzeża Bałtyku była lokowana na prawie lubeckim. Jako że były nastawione na handel, potrzebowały osobnego prawa i organizacji. Takie miasta charakteryzowały się długimi, równoległymi ulicami i nie posiadały typowego prostokątnego rynku. Jego funkcje pełniła najczęściej szeroka główna ulica. Stąd też kształt Długiego Targu w Gdańsku czy Starego Rynku w Elblągu.

Kolejnym elementem jest samo budownictwo. Wiele kamienic ma ściany w formie drewnianego szkieletu wypełnionego ceglami. To tzw. mur pruski – czyli styl budowania rozpowszechniony na tych ziemiach przez Niemców. Warte uwagi są również wzniesione przez nich kościoły. Zarówno te mniejsze, położone we wsiach i w miasteczkach, jak i same bazyliki (jak np. ta w Kołobrzegu), mają wiele cech wspólnych. Zazwyczaj ceglane, gotyckie lub neogotyckie, z ozdobnymi witrażami, strzelistymi sklepieniami i wysokimi wieżami, górują nad miejscowościami.

Czas zatrzymany

Jadąc przez wsie, czasem ma się wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Pełno tu oryginalnej zabudowy – tym razem szachulcowej, tzn. takiej, gdzie drewniany szkielet ściany wypełniony jest słomą, gliną czy wiórami (np. we wsi Łącko). Po drodze mija się również skanseny, które pokazują, jak kiedyś żyło się na tych terenach. Najbardziej znane jest Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach.

Nawet w lasach można natknąć się na coś ciekawego. Pośród gęstych, sosnowych borów, natrafia się czasem na pozostałości po dawnych smolarniach, leśnych chatkach, a zdarza się, że i całych osadach. Poza tym, spomiędzy zalesionych pagórków, co pewien czas wyłaniają się bunkry z okresu II wojny światowej...

Szlakiem latarni morskich

R10, biegnąc wzdłuż morza, siłą rzeczy mija latarnie morskie. W tym regionie pierwsze światło latarni morskiej, zwane garnkiem Wulkanu, pojawiło się w X wieku n.e. Mimo że współczesne statki mają często swoją własną nawigację, latarnie wciąż stanowią ważne punkty odniesienia i zapewniają bezpieczeństwo podróżującym po morzu.

W zależności od położenia czy aktualnych potrzeb były wznoszone na różne wysokości. Najwyższą na polskim wybrzeżu (i jedną z najwyższych na świecie) jest latarnia w Świnoujściu. Mierzy ona prawie 68 m, co równa się wysokości



ok. 20-piętrowego budynku. Najdalszy zasięg światła ma jednak inna – latarnia na Rozewiu. Jest ona usytuowana na wielkim klifie, przez co – mimo niewielkich rozmiarów – oświetla drogę statkom aż na 26 mil morskich od brzegu...

Większość z czynnych, tj. 15 działających do dzisiaj latarni, jest udostępniona do zwiedzania. W środku niektórych z nich znajdują się ciekawe wystawy np. o historii latarni czy o schemacie ich działania. Najlepsze są jednak widoki roztaczające się z ich szczytów. Z niektórych, jak na przykład tej w Kołobrzegu czy Ustce, dostrzegamy głównie krajobraz otaczającego miasta z ruchliwym portem. Jednak są i takie (np. latarnia w Czołpinie), gdzie jak okiem sięgnąć nie widać śladów cywilizacji – tylko las, wydmy i morze.

Dlaczego akurat rowerem?

Jest kilka powodów. Porusza się nim dość szybko i sprawnie. Można też dotrzeć niemal w każde miejsce na trasie (no, chyba że poza wydmami), czego nie możemy powiedzieć o jeździe samochodem. Podróżując tym środkiem transportu, cały czas mamy kontakt z otaczającym nas światem. W każdej chwili da się zjechać ze szlaku, gdy coś zwróci naszą uwagę. A poza tym, no właśnie – jest przecież nawet specjalna trasa. Wiadomo, że R10 nie jest idealnym szlakiem. Bywa piaszczysty, słabo oznakowany, czasem trzeba go nieco objechać. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, wiedzie po pięknych i ciekawych miejscach, które warto zobaczyć. Dzięki takiej różnorodnej wyprawie postrzeganie polskiego wybrzeża ulega znacznej zmianie.

Jak zatem zabrać się do takiej wycieczki? Bardzo prosto. Podstawą jest rower terenowy. Jeśli już go masz, wystarczy, byś spakował się do sakw (opcjonalnie dodając też namiot) i przymocował je do pojazdu. Kupujesz bilet na pociąg. Zarówno te do Gdyni, jak i Świnoujścia, mają specjalne uchwytty na rowery. I cóż, ruszasz w drogę...

tekst i zdjęcia: Jerzy Walaszek



Krótką historia nowoczesnego jazzu

Muzyka jazzowa łączy style. Korzysta z bogactwa muzyki klasycznej, ludowej, popularnej, a nawet rocka.



Jazz wchodzi na wyższy level

Do tego momentu, jeszcze w latach 20. i 30. XX wieku, jazz był muzyką rozrywkową. Orkiestry swingowe gościły na największych uroczystościach i imprezach firmowych w Stanach Zjednoczonych, ludzie godzinami tańczyli do tej muzyki, a wytwórnie płytowe sprzedawały tysiące płyt winylowych.

Rok 1944. Ze środka niewielkiego klubu na 52nd Street w Nowym Jorku dobiegają dźwięki. Ówczesny mieszkaniec miasta nie nazwie tego muzyką. Słowa, jakie nasuwają się słuchaczom, to raczej chaos, kakofonia. Ówczesni ludzie nie słyszeli niczego podobnego wcześniej, są świadkami narodzin stylu, który ukształtuje muzykę jazzową na następne dekady. Najbardziej wybijają się ostre, agresywne brzmienie saksofonu. Co jakiś czas odzywa się trąbka w wysokim rejestrze. Wewnątrz klubu wszędzie unosi się dym papierosowy, przeplatany z zapachem piwa i wysokoprocentowych alkoholi. Ciasne, obskurne wnętrze nie jest przystosowane do goszczenia tak wielu słuchaczy.

Wielki Dizzy – trębacz w okularach

Na małej scenie osaczonej przez widownię gra kwintet. Na trąbce przysadzisty, pyzaty, czarnoskóry mężczyzna. O jego nos opierają się okrągłe okulary z grubymi oprawkami – to Dizzy Gillespie, po latach powiedzą o nim, że to jeden z najwybitniejszych trębaczy jazzowych. Przy fortepianie zasiada Thelonious Monk, jego znakiem rozpoznawczym jest ciemny kapelusz, z którym się nigdy nie rozstaje. Sekcję rytmiczną tworzą perkusista Max Roach i kontrabasista Curley Russell.

Na przedzie, lekko pochylony, złany potem, stoi Charlie Parker, wirtuoz saksofonu altowego. Właśnie w zawrotnym tempie 230 uderzeń na minutę gra improwizowane solo do utworu „Ornithology”.

Parker, znany również pod pseudonimem „Bird”, jest najbardziej wpływowym wykonawcą zupełnie nowego nurtu – bebopu, który zdominuje muzykę jazzową aż do dnia dzisiejszego i zapoczątkuje szeroko rozumiany jazz nowoczesny.

Styl bebopowy jest kamieniem milowym w historii muzyki. Dzięki niemu jazz przestał być uważany wyłącznie za muzykę taneczną, rozrywkową, lecz powoli zaczęto zaliczać go do muzyki poważnej. W latach 40. wiele big-bandów rozpadło się, a na ich miejsce zaczęły formować się mniejsze zespoły, takie jak na przykład kwintet Charliego Parkera i Dizzy'ego Gillespie. Kompozycje przybrały bardziej złożoną formę, zmienił się sposób wykonywania utworów. Tempo gry stało się szybsze, do znanych wcześniej melodii zaczęto dopisywać zupełnie nową, skomplikowaną harmonię. Wtedy właśnie rozwinął się kluczowy element jazzu, czyli improwizacja. Muzycy zyskali więcej swobody w improwizacji, solówki stały się wirtuozerskimi zagrywkami, granymi w zawrotnym tempie. Sposób frazowania – z łagodnego, melodyjnego, cieszącego ucho słuchaczy – przeszedł w bardziej agresywny. Skomplikowane frazy, liczne ozdobniki chromatyczne to cechy charakteryzujące styl bebopowy.





Fot. Mallory1180 (CC BY-SA 4.0)



Miles Davis

Miles Davis w natarciu

Przez następne lata muzyka jazzowa rozkwitała. Cały czas szukano nowych brzmień, nowych połączeń instrumentów. Jedną z najważniejszych postaci, która miała wpływ na rozwój jazzu, był Miles Davis. Wybitny trębacz przez cały okres swojej kariery materializował swoje nowatorskie idee. Davisa uważa się za twórcę cool jazzu, którego era nastąpiła zaraz po okresie bebopu, w latach 50. Za pierwszy album tego gatunku uznaje się „Birth of The Cool” Milesa Davisa. W owych czasach artyści uznali, że ludzie muszą „ochłoniąć” po doświadczeniach związanych z bebopem i zaczęli tworzyć bardziej „chłodną” muzykę. Spokojne tempa utworów, łagodne brzmienia instrumentów, subtelne frazowanie i improwizacje. Inni słynni wykonawcy cool jazzu to m.in. Chet Baker, Dave Brubeck, Stan Getz.

Muzyka z prądem

W roku 1959 ma miejsce premiera płyty „Kind of Blue”, która zapoczątkuje jazz modalny. Zmieni się zupełnie sposób komponowania. Utwory nie są już tak ściśle powiązane z klasyczną harmonią, stają się przejrzyste. Cechuje je przede wszystkim prostota. Najbardziej popularny utwór z tego gatunku to „So What”. Cała kompozycja opiera się tylko na dwóch akordach.

W roku 1970 Miles Davis znowu zapisze się na kartach historii. „Bitches Brew” jest pierwszym albumem z gatunku fusion. To połączenie muzyki rockowej z jazzem. W utworach tego gatunku pojawia się przesterowane brzmienie gitary elektrycznej. Instrumenty akustyczne zostały wyparte przez elektryczne. Nawet fortepian znalazł swój elektryczny odpowiednik w postaci pianina Fender Rhodes. Instrument ten zaprojektowano jako pierwszy przenośny fortepian, lecz jego brzmienie jest zupełnie inne. Herbie Hancock, Chick Corea czy Joe Zawinul – to oni jako pierwsi mieli styczność z nowym pianinem i zaczęli wykorzystywać jego potencjał.

Polacy lubią to!

W Polsce wydarzeniem, które zapoczątkowało erę jazzu nowoczesnego, jest Ogólnopolski Festiwal Muzyki Jazzowej w Sopocie. Po raz pierwszy odbył się on 8 sierpnia 1956 roku.

Jednym z wielu polskich zespołów zaproszonych na festiwal jest Sekstet Krzysztofa Komedy. Zespół młodego pianisty wykonuje między innymi utwór „Memory of Bach”. Jest to jedna z pierwszych prób łączenia muzyki klasycznej z jazzową w Polsce. Dla polskich słuchaczy jest to zupełnie nowe

doświadczenie, a kompozycja ta zostanie nazwana „utworem eksperymentalnym”. Mimo wszystko zespół budzi zainteresowanie publiczności, Andrzej Munk – reżyser Polskiej Kroniki Filmowej – decyduje się sfilmować grających muzyków. Dziś na youtube można znaleźć oryginalne nagranie.

Obecnie zjawisko łączenia jazzu i muzyki klasycznej nie jest już zaskoczeniem. Europejczycy muzycy rozumieją tę muzykę inaczej. Ich jazz przybrał brzmienie, które czerpie z muzyki klasycznej epoki impresjonizmu. Artyści szukają inspiracji w dziełach historycznych czy muzyce etnicznej.

W 2015 roku pianista Piotr Orzechowski, znany również pod pseudonimem artystycznym „Pianohooligan” wydał płytę „15 Studies For The Oberek”. Jak sam tytuł wskazuje, płyta zawiera 15 utworów, improwizacji inspirowanych polskim tańcem ludowym.

Między jazzem, folkiem i klasyką

Album „Artisena” to najnowsze dzieło Joachima Mencla – także pianisty, lecz na płycie usłyszymy również brzmienie liry korbowej. Płyta zawiera 8 utworów inspirowanych polskimi tańcami ludowymi. Znajdziemy tu m.in. poloneza, mazurka, kujawiaka czy krakowiaka. Wszystko w aranżacjach na kwintet i z rozbudowaną improwizacją.

Utwory te nie brzmią jak klasyczny jazz z lat 40. XX wieku. Wręcz swoim brzmieniem bardziej przypominają muzykę klasyczną, poważną.

Adam Bałdych – skrzypek współpracujący z prestiżową wytwórnią ACT, w swoim najnowszym albumie „Sacrum Profanum” szuka inspiracji w bardzo odległych dziejach. Na płycie znajdziemy 5 autorskich utworów artysty oraz 5 przearanżowanych kompozycji. Artysta umieścił w albumie m.in. polską średniowieczną pieśń „Bogurodzica” oraz skomponowaną w XII wieku przez benedyktynkę Hildegardę z Bingen „O virga ac diadema”. Bałdych wzbogaca te utwory o improwizację, mamy do czynienia z bardziej rozbudowaną harmonią, lecz mimo to, cały średniowieczny klimat nie zostaje unicestwiony, wręcz przeciwnie – słuchając płyty, możemy cofnąć się w czasie o dobre paręset lat.

Na warsztacie muzyka popularna

W nowoczesnej muzyce jazzowej mamy również do czynienia z aranżacjami utworów rozrywkowych. Artystą, który do perfekcji opanował sztukę grania muzyki popularnej w sposób niecodzienny, jest Brad Mehldau. Ten pochodzący ze Stanów Zjednoczonych pianista jazzowy ma w swoim dorobku artystycznym kilka wykonanych utworów zespołów takich jak The Beatles, Radiohead czy Oasis. Brad Mehldau pokazuje swój warsztat artystyczny poprzez grę w niesymetrycznym metrum czy grając odrębne melodie lewą i prawą ręką.



Fot. Sven0705 (CC BY-SA 3.0)



Ennio Morricone

{ światowy władca muzyki filmowej }



Jest autorem muzyki do ponad 500 filmów, laureatem Oscara za całokształt twórczości oraz muzykę do „Nienawistnej ósemki”.

Tworzy bez pomocy fortepianu, a wszystko powstaje w jego głowie już kompletne i spójne. Zresztą nie ma czemu się dziwić, skoro pierwsze kompozycje napisał już w wieku sześciu lat. Zaczynał w nocnych klubach, teraz jest jednym z najbardziej znanych kompozytorów na świecie...

Na początku było radio i kluby

Ennio Morricone urodził się w 1928 roku w Rzymie. Jest najstarszy z pięciorga dzieci Libery Ridolfi i Mario Morricone. Ojciec kompozytora był trębaczem i już od najmłodszych lat uczył go czytać nuty i grać na kilku instrumentach. W wieku dwunastu lat Ennio wstąpił do Narodowego Konserwatorium im. Świętej Cecylii, gdzie – jak jego ojciec – uczył się grać na trąbce. W 1940 roku rozpoczął czteroletni kurs harmonii, który ukończył prawdopodobnie już... po sześciu miesiącach. Zaczął grać jako trębacz w orkiestrze specjalizującej się w muzyce do filmów i jeszcze przed ukończeniem konserwatorium stworzył kilka ścieżek muzycznych do słuchowisk radiowych. W 1946 roku skończył studia w klasie trąbki, sześć lat później – w klasie instrumentacji, a w 1954 roku – z kompozycji. Później parę lat grał w nocnych lokalach jako trębacz jazzowy, a także przez krótki czas współpracował z Radiem Rai. Trwało to jednak zaledwie... pół dnia, ponieważ gdy dowiedział się, że jako pracownikowi nie wolno mu odtwarzać swoich piosenek, natychmiast się zwolnił.

Western bramą do kariery

Przełomem w rozwoju artystycznym Morricone stał się rok 1964, kiedy to jego kolega (jeszcze ze szkolnej ławy) i jednocześnie reżyser – Sergio Leone, poprosił go o napisanie muzyki do westernu „Za garść dolarów”, który m.in. ze względu właśnie na ścieżkę dźwiękową, zyskał miano filmu artystycznego i był jednym z pierwszych tzw. spaghetti westernów, czyli filmów z nurtu stworzonego przez Włochów, charakteryzującego się brutalnością i czarnym humorem. Artysta współpracował z Leone jeszcze przy wielu obrazach. Wśród nich znalazł się m.in. „Dobry, zły i brzydki” z bardzo słynnym motywem muzycznym, „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie” czy „Dawno temu w Ameryce”.

Trudna droga do sławy

Morricone stworzył wiele produkcji włoskich, jednak to praca dla kina amerykańskiego przyniosła mu wielką popularność. Szczególnie przyczyniły się do tego takie filmy jak „Nietykalni”, „Nienawistna ósemka” Quentina Tarantino z 2015 roku, za którą otrzymał Oscara, „Ojciec chrzestny” czy „Misja”, do której skomponował muzykę w całości i otrzymał za nią Złoty Glob. Można powiedzieć, że ścieżka muzyczna z tego obrazu jest wręcz uduchowiona i zdaje się uchylać rąbka nieba. I tak, film za filmem, rosła coraz większa popularność zdolnego Włocha...

Jednak praca kompozytora wcale nie jest prosta. Jak sam Morricone przyznaje: „Komponowanie do filmu jest trudne, ponieważ trzeba stawić czoła sytuacji wymuszonej przez narrację i realistyczne obrazy, w których widać konkretne miejsca i aktorów, ich działanie i dialogi. To wszystko jest realistyczne. Tymczasem muzyka jest czymś, co pochodzi z innego i abstrakcyjnego świata. Muzyki nie widać. Jest absolutnie konieczne sprawić, by muzyka w filmie była usłyszana, ale nie może być





słuchana razem z innymi elementami ekranowej rzeczywistości. Sprawić, by muzyka dopełniała obraz, nie przytłaczając go – to wielka sztuka...”. Kompozytor określa swoje zadanie jako „ekstremalnie trudne”.

Tajemnice tworzenia

Mistrzowska muzyka powstaje pod palcami znanego kompozytora – to wszystko już wiemy. Jednak jak to się dzieje? Oto jest pytanie. Otóż wszystko ma miejsce w pomieszczeniu nazywanym przez niego „laboratorium”, do którego nikogo nie wpuszcza. Unika także zaawansowanej techniki i choć przyznaje, że pomogłaby mu ona w tworzeniu, uważa, że w tym wieku nie będzie w stanie nauczyć się korzystania z komputera. Tak więc pozostaje przy tradycyjnym ołówku i kawałku papieru. Co więcej, nie używa, jak większość kompozytorów, fortepianu do znalezienia odpowiedniego dźwięku czy odszukania właściwej melodii. Wszystko to powstaje w głowie mistrza już zsynchronizowane i spójne. A tworzenie zawsze zaczyna od przeczytania scenariusza, bo uważa, że to w nim kryje się załączek przyszłej oprawy muzycznej dzieła. Jego muzyka

pozwała znacznie intensywniej i głębiej wniknąć w świat filmu, przeżywać emocje bohaterów i wczuć się w daną sytuację.

Nie tylko filmy...

Choć trudno wyobrazić sobie kino bez jego dźwięków, Morricone nie zajmuje się jedynie muzyką filmową. Tworzył dla teatru i radia, ale zasłynął także komponowaniem muzyki klasycznej. Napisał m.in. ponad piętnaście koncertów fortepianowych, wiele dzieł chóralnych i nawet jedną operę. „Niektórzy sądzą, że piszę tylko kompozycje filmowe, a to nieprawda. Filmowy podkład jest tak naprawdę tylko dla filmowców i widowni. Każda inna muzyka to jest dopiero to, co kompozytor czuje, jest bardziej osobista” – powiedział mistrz w jednym z wywiadów. Dał też wiele koncertów, biorąc w nich udział jako dyrygent. Wiele razy był w Polsce, a 19 stycznia 2019 roku wystąpił w Krakowie, świętując trasą koncertową swoje... dziewięćdziesiąte urodziny! Poświęcił muzyce całe swoje długie życie, a jego aktywność nie ustaje – wciąż tworzy kolejne dzieła.

Lidia Kędra





Współczesne mity

Tekst zawiera spoilery z „Batman Początek”, „Harry’ego Pottera”, „Gwiezdnych Wojen” i „Władcy Pierścieni”.

Co łączy historie Batmana, Luke’a Skywalker’a, Harry’ego Pottera i Frodo Bagginsa? Z pozoru niewiele. To bohaterowie dzieł pochodzących z różnych czasów, osadzonych w różnorodnych nurtach i stylach. Przedstawiają różne schematy wartości, figurują w odrębnych światach i uniwersach, mają nieraz diametralnie odmienne charaktery. Jednak przy dokładniejszym zgłębieniu tematu okazuje się, że ich historie są sobie bliższe, niż mogłoby się wydawać.

Mit ukryty w wielu opowieściach

Joseph Campbell to dwudziestowieczny amerykański mitoznawca, pisarz i myśliciel. Jest autorem wielu bardzo intrygujących publikacji. Jednak za jego najważniejsze osiągnięcie uznaje się książkę „Bohater o tysiącu twarzy”, opisującą schemat tak zwanego monomitu.

Monomit to mit uniwersalny – wzorzec historii, który najbardziej lubią odbiorcy: opowieść łatwo uzyskująca fanów i przemawiająca do powszechnej wyobraźni.

Na kartach „Bohatera o tysiącu twarzy” Joseph Campbell przedstawił różnorodne mity, pochodzące z różnych kultur, czasów i religii. Następnie wydestylował ich wspólne elementy i na ich podstawie stworzył schemat mitu uniwersalnego – powtarzanego w każdej historii w mniejszym bądź większym stopniu. W największej, skróconej formie brzmi on: „Bohater ryzykuje wyprawę ze świata powszedniości do krainy nadnaturalnych dziwów; spotyka tam fantastyczne siły i odnosi rozstrzygające zwycięstwo, po czym powraca z tej tajemniczej wyprawy obdarzony mocą czynienia dobra ku pożytkowi swych bliźnich”.

Frodo, Harry i inni

Gdy uważnie przyjrzymy się dziełom popkultury, z łatwością zauważymy, że niemal wszystkie kasowe serie i historie jak ulał pasują do opisywanego schematu. Nie wszystkie spełniają każdy z postulowanych przez Campbella elementów historii uniwersalnej, ale pewne podobieństwo jest wyraźne.

Mamy więc postać. Zazwyczaj jest to młody mężczyzna (choć w dzisiejszych czasach zaczyna się to zmieniać – patrz: Katniss Everdeen), mieszkający w bezpiecznym, odizolowanym miejscu. Dla Batmana będzie to Gotham z czasów jego młodości, dla Luke’a Tatooine, dla Harry’ego dom Dursleyów, dla Froda zaś Shire. Każde z tych miejsc jest na swój sposób bezpieczne, znane, pozbawione realnych zagrożeń. Z rodzicami bohatera związana jest zwykle jakaś tragedia: Frodo, Bruce i Harry osierocieli, Luke myśli, że zarówno jego matka, jak i ojciec nie żyją itd.

Niespodziewanie przed bohaterem staje jednak jakieś tajemnicze wezwanie: może być to hologram księżniczki Lei, Gandalf i jego szaleńcze pomysły, czy też list z Hogwartu. Nasz bohater musi więc opuścić swój bezpieczny świat i wyruszyć w świat szerszy, niebezpieczny. W jego wędrowce towarzyszy mu mistrz lub pomocna siła wprowadzająca bohatera w nieznaną. Mentorem może być Ra’s al Ghul, Albus Dumbledore, Gandalf czy też Obi-Wan. Ważnym etapem drogi bohatera jest szkolenie – przekazywanie wiedzy przez mentora bądź siłę nadprzyrodzoną, ewentualny samorozwój. Może być to więc trening rycerzy Jedi, poznanie historii pierścienia, nauka w Hogwarcie czy też ćwiczenia pod okiem Ligii Cieni.

Kolejnym punktem opowieści jest zwykle śmierć mentora lub jego odcięcie się od bohatera. Gandalf niknie w czeluściach Morii, Obi-Wan pada zgładzony mieczem Vadera, Dumbledore



ginie na szczycie Wieży Astronomicznej, zaś Bruce Wayne porzuca Ra's al Ghul i jego nauki. Następnie bohater korzystnie przechodzi przez kilka mniejszych prób: wdziewa maskę Batmana i zaczyna zwalczać przestępczość, detonuje Gwiazdę Śmierci czy też wyrusza na poszukiwania Insygniów.

Przegrywa, wraca, zwycięża

Mimo wszystko, gdy osamotniony bohater podejmuje się pierwszego poważnego starcia ze złem odnosi w nim porażkę. Bruce Wayne daje się zaskoczyć Ghulowi w swojej rezydencji, a Vader pokonuje i okalecza Luke'a. Voldemort zabija Harry'ego, Frodo zostaje rozdzielony z Samem i wpada w ręce orków. Nie jest to jednak ostateczny koniec historii – wszak bohater odnajduje w sobie siły do powrotu i ponownego zmierzenia się ze złem. Może być tym razem uzbrojony w nowe moce, jak Harry Potter, który staje naprzeciw Voldemorta jako osoba, której prawnie należy się Czarna Różdżka, i która pozbawiła Sami-Wiecie-Kogo horkruksów. Może też otrzymać wsparcie od swojego wiernego ogrodnika lub po prostu doszkolić się u Yody, ewentualnie połączyć swoje siły z komisarzem Gordonem.

Koniec końców liczy się to, że bohater zwycięża. Batman wygrywa z Ra's al Ghulem w pojedynku, druga Gwiazda Śmierci wybucha, Harry powraca do świata żywych i pokonuje Voldemorta, pierścień władzy zostaje zniszczony. Historia kończy się szczęśliwie.

Nietrudno zauważyć, że nie w każdej przytoczonej historii występują wszystkie elementy mitu uniwersalnego. Jest to rzecz jasna konsekwencja faktu, o którym wspomniałem wcześniej – monomit nie jest jedną historią, ale zbiorem elementów tworzących dobrą, wciągającą historię. Nie wszystkie jego punkty są „obowiązkowe”, ale niewątpliwie da się wykazać, że wiele opowieści, które odniosły sukces, spełnia bardzo wiele założeń Campbella.

George'a Lucasa mit na wieki?

Bardzo ciekawym przykładem monomitu są „Gwiezdne Wojny”. George Lucas był wielkim fanem „Bohatera o tysiącu twarzy” i zdecydował się całkowicie oprzeć scenariusz swojej sagi na proponowanych przez Campbella rozwiązaniach. Niewątpliwie opłaciło mu się to i stworzył najbardziej rozpoznawalny mit naszych czasów. Jestem bardzo ciekawy, czy nasze współczesne opowieści przetrwają na wzór swoich greckich odpowiedników tysiące lat – a jeśli tak, to jakie będą budzić uczucia w przyszłych pokoleniach.

O założeniach monomitu wiele już napisano. Internet pełen jest opracowań też Campbella, a najbardziej dociekliwi mogą sięgnąć po jego książki. Zdobycie wiedzy na temat typowych konstrukcji historii wzbogaca odbiór wielu opowieści, a wynajdywanie punktów schematu Campbella w znanych nam dziełach może stanowić świetną zabawę.

Jakub Leśkiewicz





Samorządy Uczniowskie *na sportowo*



22 maja br. w Com Com Zone Nowa Huta odbył się Turniej Sportowy Samorządów Uczniowskich.



Dziewięć rad uczniowskich krakowskich szkół rywalizowało w zawodach siatkówki, badmintona oraz biegu przełajowym. Wśród szkół ponadpodstawowych najlepszymi siatkarzami okazali się uczniowie Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2. W turnieju badmintona zwyciężył duet z XXIII LO im. Płk Pil. Stanisława Skarżyńskiego, a w przełajach najlepsi byli reprezentanci Zespołu Szkół Chemicznych im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Zwycięzcą całego Turnieju w kategorii szkół ponadpodstawowych został zespół samorządowców XVI Liceum Ogólnokształcącego im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Samorządy, które wzięły udział w Turnieju, uczestniczą w Samorządowej Lidze Mistrzów – całorocznym konkursie samorządów uczniowskich, organizowanym przez Urząd Miasta Krakowa.

Zdjęcia: Kacper Kulka





Demokracja w praktyce

STOWARZYSZENIE
DEMOKRACJA
W PRAKTYCE

Gdyby zapytać ludzi o ich wymarzony zawód, zapewne tylko nieliczni na pierwszym miejscu wskazaliby parlamentarzystę. I nic dziwnego. W końcu to praca stresująca, żmudna i okrutnie niewdzięczna. Co jednak, gdybym powiedział, że właśnie w tym roku blisko setka licealistów z całego Krakowa postanowiła – ot tak – zostać posłami? Co prawda na razie tylko na kilka tygodni, ale kto wie, co będzie dalej. Wszak, jak głosił pewien antyczny – nomem omen – polityk: „małe szanse są często początkiem wielkich przedsięwzięć”. Wiedzą coś o tym na pewno organizatorzy I Krakowskiego Parlamentu Młodzieży, którzy ze swoją inicjatywą startowali nader niepozornie. Ale po kolei.

Wszystko zaczęło się 3 lata temu od zwykłego szkolnego projektu na... lekcję przyrody. Wtedy to garstka uczniów z II LO im. Jana III Sobieskiego w Krakowie wpadła na pomysł zorganizowania symulacji debaty parlamentarnej na kilka społecznie ważnych tematów. Małe zadanie na ocenę przeprowadzone w ramach lekcji szybko wyewoluowało w większy projekt. Jeszcze w tym samym roku, w krakowskim drugim liceum, z wielką pompą ogłoszono zapisy do tzw. „Sobieskiego Parlamentu”. W szkolnej auli pięć zupełnie różnych partii politycznych debatowało nad pięcioma przygotowanymi przez siebie projektami ustaw. Nad wszystkim czuwał marszałek i profesjonalne jury, które na końcu wyłoniło najlepszych mówców i najlepsze partie. W kolejnych latach wydarzenie jeszcze się rozrosło – obrady przeniesiono do budynku Rady Miasta przy Placu Wszystkich Świętych, a całość zyskała patronów medialnych, sponsorów i odpowiednią oprawę – włącznie z honorowym patronatem prezydenta Jacka Majchrowskiego.

Jednak przez cały czas (Sobieski Parlament liczy już 3 edycje) w rolę polityków mogli wcielać się jedynie uczniowie II LO. Aż do teraz. Właśnie w tym roku projekt poszerzono tak, by po raz pierwszy w symulacji parlamentarnych obrad mogli wziąć udział uczniowie wszystkich krakowskich szkół średnich. Tak właśnie powstał I Krakowski Parlament Młodzieży. Jedyne w swoim rodzaju projekt edukacyjny, pozwalający na własnej skórze doświadczyć całego procesu legislacyjnego i zaznać demokracji w nieco bardziej praktycznym wydaniu. Finał wydarzenia odbył się w miejskim magistracie w dniach 27 i 28 maja, jednak uczestnicy byli w nie zaangażowani już

od marca. Uczniowie „jedyńki”, „piątki”, „siódemki”, „dwójki”, a także VII Prywatnego LO im. Mikołaja Reja najpierw musieli utworzyć swoje własne partie polityczne, z precyzyjnie określonymi założeniami i statutem, a następnie samemu opracować projekt ustawy na wylosowany wcześniej temat. Organizatorzy nie zostawili jednak uczestników bez pomocy. Wszystkiemu towarzyszyły trwające blisko dwa miesiące wykłady i warsztaty z profesorami z Wydziału Prawa i Administracji UJ, na których uczniowie mogli poszerzyć swoją wiedzę na temat polskiego prawodawstwa i lepiej przygotować się do swoich wystąpień.

A było nad czym debatować, bo i tematy, których podjęli się uczestnicy, były kontrowersyjne, istotne i na czasie. Przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej, likwidacja ciszy wyborczej czy problem anonimowości w mediach społecznościowych to tylko niektóre z nich. Tu każdy mógł zaproponować swoje rozwiązanie, a potem publicznie przedstawić je na forum.

Na najlepszych parlamentarzystów, którymi okazali się: Jan Przewięźlikowski, Katarzyna Kuliberda i Józef Bartosz, czekały nagrody i wyróżnienia. Najlepszą partią z kolei została Unia Rolniczo-Społeczna Ulicy Studenckiej (w skrócie URSUS) reprezentująca V LO w Krakowie. Nie to było jednak najważniejsze. Nie są tu również ważne wszelkie zabawne memy i pamiętne riposty, które od zawsze towarzyszą kolejnym edycjom parlamentu. Krakowski Parlament Młodzieży to przede wszystkim niepowtarzalna okazja, by osobiście i namacalnie przekonać się, jak funkcjonuje system polityczny, w którym żyjemy. „Powiedz mi, a zapomnę, pokaż mi, a zapamiętam, pozwól mi zrobić, a zrozumiem” – mawiał przed wiekami Konfucjusz. Pomysł symulacji obrad parlamentu uderza tu przecież w samo sedno. Bo chyba znacznie lepiej zamiast o polityce słuchać w telewizji, na moment samemu stać się politykiem. Jeżeli czasem aż kusi Was, by powiedzieć – „Nawet ja bym lepszą ustawę napisał” – to proszę bardzo. Wystarczy tylko przyjść na kolejny Krakowski Parlament Młodzieży.

Łukasz Trzaska
Stowarzyszenie Demokracja w Praktyce

Wszystkie artykuły dostępne są na stronie internetowej:
www.demokracjawnpraktyce.pl

PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**ZADZWOŃ
LUB NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



12 616-78-19



mlodziez@um.krakow.pl